

Nr. 16. *Z dnia 11 października 1903 r.*

W CHWILI PRZEŁOMOWEJ.

Od czasu wprowadzenia kolei, Zakopane przestało już być „uroczą górską wioską“ do której zdążano aby nacieszyć się widokiem „naszych Tatr“ — i stanęło do współzawodnictwa z krajowemi i zagranicznemi uzdrowiskami. Publiczność przyjeżdżająca podwyższyła też znacznie skalę dawniej stosowanych wymagań. Poczęto się domagać jak najdalej idących ulepszeń, tak pod względem wygód życia codziennego, jak i hygieny. Po czasie bezkrytycznych zachwytów — nastąpił okres surowej, czasem wygórowanej krytyki, której punktem kulminacyjnym był ów osławiony wiec gości, żądający prawie miljonowych inwestycyj na kanalizację Zakopanego.

Ta habilitacja wioski góralskiej na pierwszorzędne uzdrowisko, pociągnęła jednak za sobą w istocie bardzo daleko idące obowiązki, którym Zakopane musi sprostać, jeżeli ma się utrzymać na tej wyżynie, na jakiej nagle się znalazło. Za najpierwszą i finansowo najbardziej możliwą z całego rzędu koniecznych inwestycyj uznała gmina zaprowadzenie wodociągów. Sejm krajowy uznając konieczność wkładu, nie wahał się użyczyć gwarancji na potrzebną na ten cel pożyczkę w wysokości 400 tysięcy koron. Oprocentowanie jednak i umarzanie pożyczki wodociągowej, pochłaniałoby prawie całkowicie dochody gminy, nie pozostawiając funduszu na nieodzowne wydatki. Trzebaby więc pomnożyć dochody gminy. Czy to jednak możliwe? przypatrzmy się cyfrom. Jedynem źródłem dochodu gminy są dodatki do podatków. Dodatki do podatków bezpośrednich w y n o s z ą o b e c n i e 50%, a łącznie z 110% dodatków powiatowych i krajowych dosięgają n i e p r a w d o p o d o b n e j s u m y 160%.

Podatek pośredni, konsumcyjny, w y n o s i 100% i daje się dotkliwie uczuwać tak miejscowej ludności jak i gościom, którzy obecnie już głoszą, że Zakopane jest najdroższem uzdrowiskiem w kraju, a w razie większej drożyzny, poczną go unikać. Jasnem więc jest, że gmina nie może na tej drodze szukać zwiększenia dochodów. Górale przeciążeni są podatkami, goście skarżą się na drożyznę — a dochody gminy mimo to za szczupłe, aby konieczne przeprowadzić ulepszenia.

W tem trudnem położeniu byłoby jedno możliwe wyjście, a mianowicie połączenie funduszu klimatyki z funduszem gminnym. Mało kto z gości zakopiańskich rozróżnia dwie te instytucje „gminę“ i „komisję klimatyczną“, mało kto orjentuje się w tem rozdzieleniu pojęć i funduszów. W finansach Zakopanego rozdział ten znaczy, że „klimatyka“, z taks płaconych przez gości, rozporządza rocznie funduszem 60 tysięcy koron, których wedle brzmienia obowiązującej ustawy używać może jedynie na uprzyjemnienie gościom pobytu“ — a gmina z powodu braku funduszów, ma ręce związane. Komisję klimatyczną wprowadziła do naszych uzdrowisk ustawa sejmowa z 4 listopada 1901. Instytucja ta, mająca za cel godzenie interesów gmin, obszarów dworskich i gości w miejscowościach, które dzięki sprzyjającym okolicznościom stały się uzdrowiskami, nie jest niezbędną w Zakopanem, gdzie podobne kwestje sporne, są terytoryalnie wykluczone. Uważa-

jąc, że połączenie funduszów obu administracyj w jedną całość jest kardynalnym warunkiem rozwoju Zakopanego, gmina wniosła obecnie do Sejmu petycję, w której uprasza:

1) O wyłączenie Zakopanego z ustawy zdrojowej z dnia 4 listopada 1901;

2) O nadanie Zakopanemu osobnej ustawy przyznającej gminie zarząd stacji klimatycznej;

3) O zezwolenie użycia funduszu klimatycznego na wszelkie cele zmierzające do podniesienia i rozwoju uzdrowiska.

Zaprowadzenie wodociągów, to tylko, jak już nadmieniliśmy, pierwsza z długiego szeregu niezbędnych inwestycyj. W następnych zaraz latach czeka gminę regulacja Zakopanego, budowa nowych ulic (Sienkiewicza, Nowa Przecznica), rozszerzenie ulic dawnych (n. p. Kościelskiej), osuszanie Zakopanego, rozszerzenie budynku szkolnego, założenie nowego cmentarza, racjonalne usuwanie nieczystości itd. itd., nieprzerwana litanja olbrzymich wydatków.

Niektóre z nich ciążą wprost na gminie, inne dotykają mieszkańców — a wszystkie przewyższają możność finansową Zakopanego. Dochody lichych gruntów podtatrzańskich, dochody kilkunastu sklepów i opłaty kilku tysięcy kuracjuszów nie opłacą tych olbrzymich wymogów, zaciągnięcie zaś pożyczki na wzorowe urządzenie Zakopanego byłoby ruiną i gminy i stałych jej mieszkańców. W dalszym ciągu przedłożonej petycji, gmina uprasza więc Sejm o uwolnienie jej na czas jakiś od dodatków krajowych, albo od obowiązku płacenia procentów zagwarantowanej pożyczki.

Zakopane znajduje się obecnie w chwili przełomowej. Jeśli Sejm petycję uwzględni, wyjdzie ono z błędnego koła mrzonek inwestycyjnych, i stanie na realnym gruncie normalnego rozwoju — w przeciwnym razie na długi, bardzo długi może czas pozostanie lichą mieściną o wielkich pretensjach. *x.*

ZAKŁAD KUŹNICKI.

(WRAŻENIA).

Dawno, dawno, tyle lat — a ja zawsze pamiętam... I nie tylko ja, ale każdy co czas pewien spędził w Kuźnickim zakładzie jenerałowej Zamoyskiej, zapomnieć tych chwil nie może.

Jest w nim jakiś czar co kładzie się na dusze młodociane, i przykuwa je do siebie — a czarem tym, to pewna surowość średniowieczna, i poezja piękna płynąca z życia kierowniczek zakładu, i życie samo pracowite, a jednak barwne, i potok co przed oknami Zakładu płynie, i szczyty co wzywać się dają ku sobie i przeciągły śpiew piosnki góralskiej, która się żali:

„Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr — co w polu lata,
Jak ten wiatr — co w polu pędzi
Białe skrzydła, puch łabędzi,
Jeno mi Cię żal — ty — Ziemio!

U samego wyższego końca doliny Zakopiańskiej w „Kuźnicach“, otoczony z trzech stron amfiteatrem Tatr, dwupiętrowy dom Zakładu odbija wspaniale śnieżną białością od ciemno szmaragdowego tła regli.

Zakład założony początkowo w Kurniku pod wezwaniem „Matki Boskiej Dobrej Rady“, po wydaleniu założycielek przez rząd pruski w r. 1881, rozwijał się czas pewien w Lubowni na Spiżu, następnie pod Lanckoroną w Kalwarji — aż ostatecznie, z chwilą nabycia Zakopanego przez hr. Zamoyskiego — tam został przeniesiony. Przybytek ten to wierna i czujna strażnica obyczajności, ducha prawdziwie chrześcijańskiego i pragnień narodowych. Pamiętam jak raz, jedna z uczenic otrzymała wiadomość o śmierci brata, jak złamana nieszczęściem poddała się bólowi i głośno łkała. Przystąpiła do niej panna Zamoyska z słowami:

— Nie można tak — niech pani pamięta, że pani jest chrześcijanką“.

Było tyle siły, tyle mocy, a zarazem tyle słodyczy w jej słowach, że dziewczyna podniosła głowę, osuszyła łzy i poszła z swym bólem do kaplicy — a po chwili widziałam ją przy zajęciu, smutną, lecz spokojną, cichą i umocnioną. Ta wiara, która jest mocą, ta wiara szczera, głęboka — udzielała się uczenicom, miała dla nich czar czegoś potężnego i pięknego. Jak silnie drgała ona w śpiewie panny Zamoyskiej! Nigdy nie zapomnę wrażenia, gdy po raz pierwszy go słyszałam. Słowa proste, ale tak przepojone uczuciem, tak pełne miłości, że porywały dusze, budziły nadzieję i ufność.

Pamiętam jak echo niosło: „O miłosierdzia!“ dla dusz, które giną zdala od Ciebie na bezdrożach świata — o miłosierdzia! dla wszystkich płaczących, których żal gnębi, ból serce rozdziera — o miłosierdzia!

Błagalne słowa o miłosierdzia wybiegały hen, daleko po za Zakład — odbijały się echem o u-

śpione szczyty i zapadały w dusze nasze, budząc niezrozumiałą na razie tęsknotę, nieznane pragnienie miłości i lepszych, czystych uczuć.

Pamiętam z jakiem zdumieniem patrzyłam na codzienne życie pań Zamoyskich i innych kierowniczek Zakładu, jak imponowała mi niestrudzona ich czynność i twarze zawsze pogodne, jasne. Ten żywy przykład działał więcej, aniżeli wszelkie morały. Każda z nas jasno widziała, że życie pań zakładowych, to abnegacja z osobistego szczęścia, poświęcenie go dla jakiegoś celu, dla ukochanej idei.

Nie rozumiałyśmy jeszcze tego celu, nie oceniały doniosłości poświęcenia, pociągała nas jednak jasna i promienna atmosfera Zakładu.

Kuźnice, choć tak oderwane od świata, budziły duszę, budziły nowe pragnienia, nowe dążenia, dawały nowe zagadki do rozwiązania: „Czemu one tak żyją — co im każe tak żyć?“

I tutaj po raz pierwszy zrozumiałam, że przykazanie miłości nie jest pustym frazesem, ale czemś wielkiem, świętem, co w życie wprowadzić można i należy. I to było główną korzyścią — którą wyniosłam z Zakładu.

Sześć lat temu, jak byłam w Kuźnicach, a jednak wspomnienie żywe trwa — a cała przeszłość ma dla mnie „anielską twarz i anielskie serce“.

Wiele pisano i wiele mówiono o Zakładzie Kuźnickim, były to jednak sądy stronnicze. Bądź za surowa krytyka — bądź ślepy zachwyt, postaram się obrać drogę pośrednią i przedstawić zarówno dodatnie jak słabsze jego strony.

Przedewszystkiem — jaki cel Zakładu? Posłużę się tutaj słowami samej jenerałowej Zamoyskiej:

„Celem naszym dowieść, że Ojczyznę doczesną dźwignąć można jedynie zdobywaniem Ojczyzny wiecznej; że Ojczyznę wieczną zdybywa się najlepiej, pracując dla Ojczyzny doczesnej t. j. szerząc w niej królestwo Boże — chciałybyśmy dowieść, że jedno i drugie polega:

1) Na wiernem wypełnianiu obowiązków stanu, w którym się kto z woli Bożej znajduje.

2) Na podnoszeniu stanu swego umiejętnem i sumiennem wykonywaniem obowiązków, do niego należnych. S t a n s w ó j p o d n o s z ą c, a l e s i ę n a d n i e g o n i e w y n o s z ą c.

3) Pan Bóg każdego przeznaczył do potrójnej pracy: umysłowej, duchowej i fizycznej. Potrójna praca w każdem życiu, a także i kobiecem miejsce swe mieć musi, a żadna żadnej wykluczać nie powinna, ani pod pozorem dostatecznego dobrobytu ani pod pozorem zbyt wielkiego ubóstwa.

4) Chrystus Pan przyrzekł, że rzeczy wielkie będą powierzone tym, co są wierni w rzeczach małych, a zatem dla otrzymania tej rzeczy wielkiej, o którą nam tak bardzo chodzi, trzeba serce i ręce przykładać i to chętnie do drobiazgów skoro one wchodzą w zakres obowiązków.

5) Trzeba nam koniecznie zdobyć miłosierdzie Boże, wprowadzając w nasze polskie życie trochę pokuty i umartwienia za pomocą cnót, przeciwko którym najwięcej u nas grzeszono. Cnoty te są: pracowitość, oszczędność, porządek, ścisłość, regularność, umiarkowanie w całym trybie życia, a nareszcie i trochę pokory, bo „pokornym Bóg łaskę daje“.

6) Obowiązki najpospolitsze wypełniać należy w myśli najwyższej, widząc w każdym i najskromniejszym obowiązku wyraz woli Bożej; tak nieustannie wiązać myśl o Ojczyźnie wiecznej z pamięcią na Ojczyznę doczesną, na obowiązki względem Niej.

Jeżeli to, co czynimy, jest jak nam niektórzy słudzy Boży zaręczali od Boga natchnione, jeżeli jest, jak oni mówią pożądanem i na czasie, ze względu na obecne prądy, to jednak czynności nasze o tyle tylko pożytek przynieść mogą, o ile będą w kraju naszym zrozumiane i o ile otrzymają poparcie tych, których uznanie jest zarazem otuchą i rękojmią“.

Tyle mówi Jenerałowa.

Całe życie Zakładu ściśle się do tych słów stosuje i stąd wynikają jego strony wzniosłe i piękne, ale zarówno i niższe. (D. c. n.)

KORESPONDENCYA.

Zakopane 10 października.

Sezon jesienny rozpoczął się pogodą tak majestatyczną i piękną, ze niech żałują rychłego wyjazdu ci wszyscy, których obowiązki odwołały z Zakopanego do miast i prac codziennego życia. Przyroda Tatrzańska przybrała strój bogaty i wspaniały, słońce przyświeca nam tu ciągle, a dnie mijają swobodne i miłe. Kto nie widział Zakopanego w jesieni, ten wprost nie może wyobrazić sobie przepychu barw, nieporównanej różnorodności odcieni czerwieni i złota, jaką przedstawiają regle tatrzańskie zwarzone chłodami. Na tle ściemniałych, czarnych prawie świerków złocą się buki i jawory, czerwienieją jarzębiny, graby splątane w najfantastyczniejsze bukiety. Na przeciwległej stronie widnokręgu na łagodnych stokach wzgórz srebrzą się ubogie mchy i trawy, na polach ludzie pracują przy kopaniu kartofli — wszędzie niezamącony spokój i cisza. Gwar letników, którzy jak huragan przelatują przez Zakopane, wzniecając tu spory, hałasy i tumany kurzu — przeminął, a cicha wieś góralska wraca do nor-

malnego trybu życia. Publiczności przejezdnej niewiele. Wszyscy prawie, którzy obecnie siedzą w Zakopanem, przybyli tu dla przepędzenia całej zimy — a uciekli od targowiska wiejskiego, od swoich trosk i bóiów. Ten, kto był tu w lecie, niech się nie ośmiela sądzić o jesieni Zakopiańskiej na podstawie doświadczeń letnich. Wszystko tu teraz odmienne. Znikli górale-wyzyskiwacze; znikła wszechwładna plotka — żyje się przeważnie samotnie. Jedynym władcą teraz słońce: zajdzie za chmury — gasną bajeczne gry barw, roz-



Z wystawy fotograficznej.
R. Mikolasch. WODA.

włóczą się mgły, i siedzieć musisz w pokoju z książką — rozświeci się, rzucasz najpilniejsze chociażby zajęcie, rzucasz książki i idziesz w słoneczne doliny, zważając tylko by wrócić do domu przed wieczoruymi chłodami. Słońce reguluje czas, ono wyznacza chwile odpoczynku, czas przechadzki, czas pracy.

Noce mamy także wspaniałe — pełnia księżycowa teraz. Na boską tę jesień narzekać może chyba tylko Płonka. W restauracji jego w lecie tak bardzo gwarnej, w której o każdej prawie porze dnia spotkać można było wszystkich „znanych“ — pusto teraz. Zawieszono teatry, widowiska, rauty, a jedynem teraz miejscem zebrań towarzyskich to dworzec kolei. Codziennie trzeba żegnać kogoś ze znajomych, ale żegna się bez żalu, z wewnętrzną radością, że nic jeszcze do odjazdu nie zmusza. Z ludzi pióra, którzy bawili tu całe lato, niewielu pozostało. Wyjechał Tetmajer, wyjechała Zapolska, a jeśli się nie mylę, pozostali tylko Nowaczyński, Reymont i Wacław Wolski. (Państwo Reymontowie mają zamiar pozostać w Zakopanem zimę całą). Wyjeżdża też wkrótce p. Mieczysław G e n i u s z, inżynier z Port-Saïd w Egipcie, który od całego szeregu lat przyjeżdża do Zakopanego, aby po trudach pracy zawodowej odpocząć wśród swoich i nacieszyć się ziemią polską. Dziwny to człowiek. Żyjąc na odludziu, wśród pustynnych piasków, w zapadłej mieścinie arabskiej, w sercu swym zamknął ideał niepodległej Polski i chociaż oddalony od rodzinnego kraju tysiącami mil pracuje dla niego niestrudzony słowem i czynem. Odcięty od napływów plaskiej zachodniej cywilizacji, pojął głębokie prawdy filozofji wschodu i zrozumiał jak wielką przewagę nad więzami materji ma duch. Za zadanie życia położył sobie więc rozbudzić w Polakach ducha narodowego. W dążeniu tym spotkał się on niejako z Lutosławskim — zachowując jednak wielką odrębność myśli i poglądów zgadza się z nim w sprawie wychowania narodowego. Z końcem września wygłosił p. Geniusz w Zakopanem odczyt w tej kwestji, który obecnie wyszedł jako broszura pod tytułem: S p r a w a w y c h o w a n i a n a r o d o w e g o*). Nie czas tu zdawać sprawę z podniosłej tej książki. Zwróci ona uwagę ogółu i będzie szerzej omawianą w prasie. Sprawozdanie z ostatniego posiedzenia Parlamentu Zakopiańskiego i uwagi o mądrym zmyśle radzieckim tutejszych górali, odkładam do przyszłej „politycznej“ korespondencji.

*) S p r a w a w y c h o w a n i a n a r o d o w e g o a W i n c e n t y L u t o s ł w s k i T r e ś ć: Uzasadnienie wychowsnia narodowego i Wszechnicy Mickiewicza w Szwajcaryi. Uwzględnienie właściwości narodowych: Indywidualizm, Braterstwo duchowe, Mesjanizm Znaczenie formy w działalności. Inicjatywa i działaloość W. Lutosławskiego. Cena 40 hal. Czysty dochód prznznacza się na cele Wszechnicy Mickiewicza w Szwajcarji. Kraków,, s ład główny w księgarni Wojnara‘

KRONIKA.

Hotel czy Sanatorjum? W ostatnich czasach wzmógł się znacznie ruch przyjezdnych w Zakopanem, ale równocześnie odmienił poniekąd swój charakter. Dawniej gdy trzeba było windować się furką przez Obidową, wyjazd do Zakopanego był wyprawą całą; przyjeżdżano tu na miesiące.

Obecnie dzięki łatwości komunikacji, pojawia się, zwłaszcza w sezonie letnim, coraz to większa liczba „turystow“, którzy zjeżdżają do Zakopanego, na kilka lub też kilkanaście dni, i opuszczają je, po zwiedzeniu Tatr. Dotych zasowy rozwój Zakopanego szedł głównie utartym szlakiem „pensjonatów“, — obliczonych na stały pobyt gości; o hotelach zapomniano prawie zupełnie. Istnieją tu wprawdzie hotele: „Hotel Bauera“, „Starzeczkówka“, „Pod Gewontem“, „Morskie Oko“, ale

przeważnie są to raczej domy zajezdne, pozbawione wygód i komfortu.

Z biegiem czasu poczęło coraz bardziej odczuwać potrzebę wygodnego i pięknego lokalu, gdzie turysta po trudach wycieczek, mógłby swobodnie i miło wypocząć. Konieczność tę zrozumiała pani Adamowa Budziszewska.

W parku przy Chramcówkach w należytej odległości od ulicy buduje p. Budziszewska wspaniały dom w stylu zakopiańskim, według projektu i pod kierunkiem architekty p. Eugenjusza Wesołowskiego. Dom składa się z 40-stu pokoi i suteren, gdzie umieszczoną będzie część gospodarcza; i tak pod względem położenia swego (bliskość dworca) jako i urządzenia wewnętrznego, odpowie najwybredniejszym wymaganiom.

Dom ten o czterech frontach, południową stronę skierowaną ku rzece Bystrej ma mieć wjazd od nowo projektowanej ulicy, która łączyć ma Chramcówki z Krupówkami. Gdy jednak ulica ta, od 6 lat wytrasowana, dotychczas jeszcze z powodu braku funduszów gminy, nie jest otwarta, p. Budziszewska w obawie, że dom jej pozbawionym być może łatwo dostępnej, a dla hotelu koniecznej komunikacji, nosi się z myślą wydzierżawienia go na Sanatorjum. Otrzymała już nawet od kilku lekarzy odpowiednie oferty.

Byłoby nieocenioną szkodą dla Zakopanego, gdyby tak się stać miało. Pacjentów już i Sanatorjów mamy w Zakopanem dość, a hoteli porządnych mało. Spodziewać się należy, że Gmina w jaknajkrótszym czasie zbuduje tę „Nową Przecznicę“ i utworzy w ten sposób bardzo ważną orterję komunikacyjną i umożliwi p. Budziszewskiej założenie hotelu odpowiadającego wymaganiom europejskim.

Pensjonat leczniczy dla dzieci i młodzieży. Młodszemu pokoleniu, rodzicom i opiekunom młodzieży doskonale znaną była willa „Zakątek“. Tutaj dzieciaki pod staranną opieką pani Julji Benoni-Dobrowolskiej, pod lekarskim nadzorem brata właścicielki zakładu, p. Ferdynanda Benoniego, odzyskiwały zdrowie i wesołość, a skrzepione na siłach, powracały do domów rodzicielskich. Obecnie „Zakątek“ już opustoszeje. Pani Dobrowolska przenosi się z zakładem, z całą rzeszą dzieciaków do większej, pięknie przy ulicy Jagiellońskiej położonej willi „Nieczuji“. Pani Dobrowolska, która obecnie rozszerza swój pożyteczny zakład, studjowała profilaktycznie urządzenia podobnych domów w Francji, Anglii, Belgii i Szwajcaryi, i przebywała dłuższy czas w znanym zakładzie offenburskim koło Meranu.

Willa „Nieczuja“ urządzona jest według wszelkich nowoczesnych wymogów. Położona wśród lasu, ma obszerne słoneczne pokoje i doskonale urządzoną salę gimnastyczną, w której gimnastykę leczniczą prowadzić będzie p. Antonina Stromajerowa z Rabki. Przenosiny zakładu odbędą się 15-go października.

Kurs leczniczo-gimnastyczny p, Stromajerowej, rozpoczyna się 4-go listopada.

24 stopnie ciepła w cieniu wskazywał w Zakopanem termometr ubiegłej środy.

Deputacja gminy zakopiańskiej w Sejmie. Dnia 7-go b. m. przedstawiła Marszałkowi krajowemu deputacja gminy Zakopanego postulaty naszego uzdrowiska. Dr. Chramiec, naczelnik wraz z trzema delegatami Rady, przedstawiwszy Marszałkowi przez posła ziemi nowotarskiej Dra Bednarskiego, prosił o pomoc kraju dla Zakopanego, ze względu na konieczne inwestycje, i o nową ustawę, która nadałaby uzdrowisku silniejszą, bardziej jednolitą organizację.

Pan Marszałek przyjął deputację bardzo życzliwie i obiecał poparcie. Deputacja udała się następnie do Kazimierza hr. Badeniego, do hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, Filipa Zaleskiego, JE. Bobrzyńskiego, Dawida Abrahamowicza, J. Męcińskiego, Romanowicza i wielu innych.



Z wystawy fotograficznej.
R. Mikolasch. TOPIELISKO.

JE. Antoni Wodzicki przyjął petycję z rąk deputatów i wniósł ją z gorącem poparciem na posiedzeniu Sejmu w dniu 8 b. m.

Poseł Dr. Tadeusz Rutowski z własnej inicjatywy wypracował projekt nowej ustawy gminnej dla Zakopanego i wniesie go na jednem z najbliższych posiedzeń sejmowych.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Słuchaj pan — rzekł książę najcichszym szeptem — rozmawiają właśnie.

— Kto?

— Dama z Berlina i panna Spencer; poznaję głos tej ostatniej.

Racksole uchylił więcej jeszcze okno i przyłożył ucho do otworu, przez który przedzierał się promień światła.

— Stań pan na mojem miejscu — szepnął. — Rozmawiają po niemiecku. Książę dokładniej zrozumiesz ich mowę.

— W cichości zamienili miejsca pod oknem; Aribert słuchał pilnie.

— Więc pani odmawiasz; — pytała dama z Berlina panny Spencer.

— Zagadniona nic nie odpowiedziała.

— Nie chcesz dać ani tysiąca franków? Mówię pani, że przegrałam całe dwadzieścia pięć tysięcy.

Znowu żadnej odpowiedzi.

— No, to opowiem całą historję — mówiła dama z gniewem. — Zrobiłam to, co zrobić przyrzekłam. Zwabiłam go tutaj, trzymacie biednego człowieka w waszym szkaradnym lochu, a mnie nie chcecie użyczyć nędznego tysiąca franków?

— Otrzymałaś już pani przyrzeczoną sumę — mówiła eksbuchalterka tonem spokojnym, chłodnym, jak stal.

— Potrzebuję jeszcze tysiąc franków.

— Nie mam pieniędzy.

— No, to zobaczymy!

Książę posłyszał szelest materji jedwabnej, drzwi zatrzaśnięto i nagle znikł promień przedzierającego się przez uchylone okno światła. Aribert otworzył to okno na oścież; pokój był ciemny, zdawał się pusty.

— Daj pan latarkę — rzekł do Raksola, powiadomiwszy go w paru słowach o treści rozmowy dwóch kobiet.

Miljoner wyciągnął z kieszeni żądaną latarkę i zapalił ją śpiesznie. Światło padło na ziemię nizko.

— to co? — zawołał Aribert. wskazując na małą, poziomą kratę pod murem.

Przyklękli i zajrzeli do suteryny. Na połamanem krześle siedział młody człowiek z przymkniętemi oczyma i głową opadłą na piersi. Migotliwe światło latarki uwydatniało trupią bladość jego twarzy.

— Kto to być może? — zagadnął Racksole.

— To Eugeniusz!... — odpowiedział książę cichym głosem.

XVII.

Wyswobodzenie księcia Eugenjusza.

— Geniu! — wołał książę Aribert pieszczotliwie.

Posłyszawszy swoje imię, więzień zwrócił głowę ku zakratowanemu okienku, dzielącemu go od wybawców, ale nie zdawał się ich poznawać. Patrzył przez parę sekund osłupiałym, nieprzytomnym wzrokiem, potem znów głowę opuścił na piersi. Miał na sobie czarne ubranie podróżne, w którem, jak zauważył Racksole, lewy rękaw rozerwany był, a całe plecy powalane i zbryzgane. Brudny, pognieciony kołnierzyk okalał mu szyję, trzewiki z bronzowej skórki rozsznurowane; na ziemi leżała czapka, chustka od nosa, kawałek oderwanego łańcuszka od zegarka i kilka sztuk złotej monety. Amerykanin świecił latarką dokoła lochu, ale nie dojrzał innego umeblowania nad złamaue krzesło, na którem siedział udzielny książę von Rüdesheim, oraz mały stoliczek ze stojącemi na nim talerzem i szklanką.

— Geniu! — wołał ponownie książę Aribert; tym razem nieszczęśliwy jego synowiec nie odwrócil nawet głowy.

— Nie widzi nas prawdopodobnie — rzekł książę do Racksola.

— Mógłby w każdym razie poznać głos pana, zauważył milioner szorstko.

Nastąpiła pauza; dwaj mężczyźni pochyleni nad kratą, z pewnem wahaniem spoglądali na siebie. Każdy z nich wiedział, że należało wejść do lochu i wyrowadzić z niego księcia Eugenjusza, a jednak nie mogli zdobyć się na krok stanowczy.

— Dzięki Bogu, że przynajmniej żyje — szepnął Aribert.

— Może spotkało go coś gorszego od śmierci, odparł Racksole.

— Coś gorszego?... Co pan przez to rozumiesz?

— Mógł dostać pomieszania zmysłów.

— Chodźmy! — zawołał Aribert z podniecona energją, domagającą się czynu.

Wyrwawszy z rąk Racksola latarkę, wbiegł do pokoju, gdzie przed chwilą słyszał rozmowę panny Spencer z damą w czerwonym kapeluszu. Amerykanin zatrzymał się chwilę u wejścia.

— Chodźmy! — powtórzył książę tonem stanowczego rozkazu. — Czego się pan boisz.

— Sam nie wiem — mówił zawstydzony Racksole — sam nie wiem istotnie.

Ciężkim krokiem wszedł za księciem do pokoju. Na kominku stały świeżo zgaszone świece; miljoner machinalnym ruchem zapalił je i rozej-

rzeli się obaj dokoła. Był to niewielki pokoik, skromnie umeblowany, z ordynarnem obiciem i pospolitymi obrazami na ścianach. Na jednem z krzeseł zawieszony był męski tużurek. Drzwi, mimo czynionych usiłowań, książę Aribert otworzyć nie mógł.

— Zamknięte na klucz, rzekł. Oczywiście spostrzeżono obecność naszą.

— Nietrafne przypuszczenie — odciął Racksole. — Jak mogliby wiedzieć o tem?

I chwyciwszy za klamkę, potrząsnął nią tak silnie, że drzwi rozwarły się bezzwłocznie.

— Mówiłem, że nie zamknięte — dowodził, a drobna ta okoliczność przywróciła mu wrodzoną jego krew zimną. Ciekawym, psychologicznym objawem było przerażenie, doznane przez dwóch odważnych, dorosłych mężczyzn na widok bezradnego, nieszczęśliwego młodego człowieka w lochu. Stopniowo, zwolna odzyskiwali równowagę umysłu i spokój. Weszli do korytarza prowadzącego do drzwi frontowych, a drzwi te zastali otwarte. Rzucili wzrok na ulicę, na której nie było widać żywego ducha; oświecona trzema gazowemi latarniami, tajemniczy miała pozór.

— Odeszła niewątpliwie — mówił Racksole, mając na myśli damę w czerwonym kapeluszu.

— Panna Spencer za nią podążyć musiała — dorzucił książę.

— Przeciwnie, ona pozostała tu z pewnością — dowodził miljoner. — Znajdźmy teraz schody do lochu.

Odszukanie tych schodów nie było trudne; książę błądząc po korytarzu, omało nie zleciał z nich. Racksole świecił latarką i szedł przodem, za nim Aribert. Na dole w przedsionku ujrzeli jakąś postać kobiecą; oczy jej, odbijając promień latarki, świeciły jak oczy kota o północy. Zbliżyli się i poznali, że to panna Spencer zastępuje im drogę. Przyklęknąwszy jednem kolanem na kamiennej posadzce, trzymała w ręku coś nakształt sztyletu, co jednak przy dokładniejszem rozpatrzeniu okazało się zwykłym nożem kuchennym.

— Słyszałam panów, słyszałam zdaleka – mówiła. — Odejdźcie, proszę! wam nie godzi się tu przychodzić!

Rozpacz malowała się w jej wzroku, drżała z niepohamowanego gniewu.

— No, panno Spencer — rzekł Racksole z wielkim spokojem — dosyć tej komedji. Usuń nam się sama z drogi, usuniemy cię przemocą.

Przystąpił do niej z latarką w ręku. Ona, nie mówiąc nic, zadała Amerykaninowi cios nożem w ramię; latarka padła na ziemię i zgasła. Racksole krzyknął raczej z oburzenia, niżeli z bólu i cofnął się w tył parę kroków. W ciemności mogli ciągle widzieć złowrogi błysk jej oczu.

— Przestrzegałam, żebyście tu nie przychodzili, — wołała. — Odejdźcie!

Racksole roześmiał się; był to śmiech trochę nienaturalnie brzmiący, niemniej nie starał go się powstrzymać. Myśl, iżby ta kobieta, do niedawna utrzymująca rachunki hotelu Babilon, mogła stawić opór za pomocą kuchennego noża dwom silnym mężczyznom, jak on i książę, pobudzała wesołość miljonera. Potarł zapałkę, zapalił świecę w latarce i stanął oko w oko z panną Spencer.

— Ponowię cios! — groziła głosem niezachwianej zaciętości.

— Nie zrobisz tego, moja panno — odparł Racksole i wyciągnąwszy rewolwer z kieszeni, odwiódł kurek. — Odłóż natychmiast jakby na żart trzymane narzędzie! — rozkazał stanowczo.

— Nie posłucham rozkazu — brzmiała odpowiedź.

— To strzelę!

Zawzięta dziewczyna przygryzła wargi.

— Strzelę! — powtórzył — raz... dwa... trzy!

Pif! paf! — wypalił dwa razy, chybiając umyślnie.

Panna Spencer ani drgnęła. Racksole był zdumiony, a zdumienie jego nie znałoby granic, gdyby mógł porównać zachowanie eksbuchalterki wobec nich z objawianym przez nią strachem poprzedniego wieczoru pod grozą rewolweru Nelli.

— Nie zle pani wymustrowana — zauważył Amerykanin — ale ta odwaga nie wiele ci pomoże. Czemu nie dasz nam przejść, zastępując drogę?

Co prawda, na odwadze właśnie zbywało pannie Spencer, jedna trwoga tłumiła w niej drugą. Bała się niesłychanie rewolweru Racksola, ale trwożyło ją więcej jeszcze inne niebezpieczeństwo.

— Czemu nam przejść nie dajesz?

— Nie śmiem — rzekła z żałosnem drżeniem głosu. — Tomasz postawił mnie na straży...

Wyznała wszystko szczerze. Można było widzieć łzy spływające po jej zbladłem obliczu.

Racksole zdjął z siebie palto.

— Muszę zabezpieczyć panią od zimna — odezwał się z uśmiechem. Nagłym ruchem zarzucił palto na głowę upartej przeciwniczki, pochwycił ją za ręce i obezwładnił z pomocą Ariberta.

Ona nie stawiała już oporu. Czuła się pokonaną.

— Nie mógłbym przecież strzelać do kobiety — dowodził miljoner.

Zanieśli ją na górę i zamknęli na klucz w jej własnej sypialni. Leżała bez ruchu na łóżku.

— Spieszmy teraz z pomocą biednemu Eugeniuszowi — nalegał książę.

— Czy nie byłoby bezpieczniej przeszukać pierwej dom cały? — zagadnął Racksole. — Lepiej przekonać się, jak stoją rzeczy. Moglibyśmy wpaść w zasadzkę.

Książę uznał słuszność tej uwagi i we dwóch zrewidowali dom od góry do dołu; nie znaleźli w nim nic coby budziło podejrzenie. Zamknąwszy na klucz drzwi frontowe i drugie, prowadzące na werandę, zeszli do lochu.

Tu natrafili na nową przeszkodę; drzwi opatrzone silnemi zamkami, zdawały się ciężkie bardzo. Widzieli się zmuszeni powrócić do sypialni, w której więzili pannę Spencer i zażądać od niej klucza.

— Tomasz go zabrał — objaśniała słabym głosem — zabrał go przez przezorność, przysięgam.

— Jakże w takim razie mogłaś pani podawać żywność więźniowi swemu? — pytał Racksole.

— Podawałam mu ją przez kratę w okienku.

Obaj mężczyźni zadrżeli z oburzenia; rozumieli, że kobieta mówi prawdę. Zeszli po raz trzeci do lochu; daremnie Amerykanin potrząsał drzwiami, potężne rygle w zamku nie ustępowały.

— Spróbujemy we dwóch drzwi wyłamać — proponował książę. — No, razem!

Wrzeciądze zatrzeszczały pod silnym naporem.

— Jeszcze, jeszcze! — wołał Aribert.

Znowu łomot i górna zawiasa odpadła; reszta była już łatwem zadaniem. Po zdruzgotanych deskach weszli do więzienia biednego księcia Eugeniusza.

Więzień siedział nieporuszenie na swojem krzesełku; piekielny hałas wyłamywanych drzwi nie zbudził go ze stanu jakby letargicznego; dopiero podniósł oczy, gdy stryj przemówił do niego po niemiecku.

— Nie chciałbyś wyjść z nami, Geniu? — pytał Aribert. — Nie potrzebujesz przebywać tu dłużej.

— Zostawcie mnie w spokoju — brzmiała smutnie odpowiedź — zostawcie w spokoju. Czego chcecie odemnie?

— Chcemy wyprowadzić cię z tego lochu — tłómaczył Aribert łagodnie. Racksole stał obok.

— Co to za człowiek? — zagadnął nagle Eugenjusz.

— To mój przyjaciel, pan Racksole, Amerykanin, któremu zawdzięczamy dużo dobrego. Chodź posilić się wieczerzą.

— Nie mogę — odparł Eugenjusz uparcie — czekam na nią. Przyjść obiecała.

— Kto ona jest? — dowiadywał się Aribert.

— Ona?... wszak wiesz! Zapomniałem! ty, stryju, wiedzieć nie możesz. Nie pytaj, proszę, nie pytaj stryju Aribercie! Miała czerwony kapelusz na głowie...

— Ja cię do niej zaprowadzę — mówił książę, kładąc rękę na ramieniu synowca, ale Eugenjusz odtrącił go, wstał, potem znów usiadł na krześle.

Aribert i Racksole spojrzeli po sobie. Eugenjusz miał gorączkowe wypieki na twarzy, a miljoner zauważył, że źrenica w lewem jego oku była więcej rozszerzona, niżeli w prawem; nieszczęśliwy wypowiadał oderwane słowa, szepcząc i jęcząc naprzemian.

— Dostał pomieszania zmysłów — rzekł Racksole cichym głosem po angielsku.

— Sza! — przestrzegał Aribert — on rozumie wasz język.

Eugenjusz jednak nie zwrócił uwagi na rozmowę swoich wybawców.

— Zaprowadźmy go lepiej na górę — rzekł miljoner.

— Dobrze — przytwierdził książę. — Geniu! dama w czerwonym kapeluszu jest w pokoju na górze. Przysłała nas tutaj po ciebie. Pójdziesz?

— Na Boga! — zawołał biedny chłopiec jakby z żalem — czemużeście nie powiedzieli tego wcześniej? (C. d. n.)

Czytelnie. 1) Klimatyczna czytelnia czasopism, w biurze Komisji klimatycznej, otwarta cały dzień, bezpłatna.

2) Wypożyczalnia w księgarni Zwolińskiego.

3) Czytelnia czasopism i wypożyczalnia książek Stowarzyszenia „Czytelnia Zakopiańska“, willa Polanka obok poczty. Dla członków bezpłatna, dla obcych abonentów za opłatą 3 Kor. miesięcznie. Cały dzień otwarta.

Poczta otwarta od 8-ej rano do 12-ej w poł. i od 2-ej do 6-tej popoł., w niedzielę od $8^1/_2$ do $11^1/_2$ rano i od 3 do 4 popoł. W niedzielę i święta w godzinach popołudniowych nie można nadawać przesyłek pocztowych i ani odbierać, ani nadawać przekazów pieniężnych. **Telegraf** otwarty jest od 7-ej rano do 9-ej wieczór bez przerwy. **Telefon** funkcyonuje w tych samych godzinach, co i telegraf. **Listy roznoszone są** o 8 ej rano i 4-ej popoł. **Paczki rozwozi się** o 8-ej rano i o 4-ej południu. Za rozwożenie paczek pobiera się opłatę: od paczki do $1^1/_2$ kg. 6 hal., do 5 kg. 10 h. do 10 kg. 20 hal, nad 10 kg. 30 hal.; jeśli jest kilka paczek bierze się jedną należytość od najcięższej, a od reszty po 6 hal. bez względu na wagę.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego:	. .	o 9 min. 2 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego:	. .	o 7 min. 5 rano. o 4 min. 5 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa:	. .	o 9 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa:	. .	o 6 min. 6 rano o 4 min. 40 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów:	. .	o 9 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa:	. .	o 2 min. 31 po poł.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	30/9	1/10	2/10	3/10	4/10	5/10	6/1
Termom. such.	14·4	15·9	17·5	13·1	15·2	12·9	9·1
„ wilg.	12·7	12·9	14	11·4	10	11·1	8·9
Ozon	11	10	10	10	10	12	12
Term. maxim.	32·8	41·8	41·8	36·8	35·2	37·2	37·2
„ minim.	12·0	12·5	11·9	15·8	16·9	17.8	16·4
Term. na bar. .	16·6	16·4	17·2	15·1	18·1	14·8	13·8
Barometr . . .	700	700·7	695	691·8	694·3	696·3	695·0
Kierun. i szyb. wiatru . . .	EES	—	—	NNW	E	NNE	WWN
Stop. zachmurz.	5 kłęb	—	—	—	—	3 kłęb.	0
Wysok. opadu	0	—	—	—	—	0	0
Uwagi	pogod.	0	0	0	0	0	deszcz

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.